

Kontusz i kierezyja

9 listopada 2012

Krakusi lubili zadawać szyku. Co z tego, że biedni, upodleni pańszczyzną, że zależni od niezrozumiałych koniunktur na zboże i drewno, którymi administratorzy tłumaczyli kolejne obciążenia, a hurtownicy skupujący jajka i mleko kolejne obniżki cen. Krakusi wiedzieli, że szacunek i godność przynależą się temu, który nosi się dostojnie i ozdobnie. Przynależą się szlachcicowi, którego można zobaczyć w kościele, a czasami nawet przechadzającego się po gościńcu albo na jarmarku w mieście.

POŚMIAĆ SIĘ Z CHAMA

Zobaczyć oczywiście z pewnej odległości, choć na tyle blisko, aby zauważyć kolorowy kontusz ściśnięty w pasie, z wylotami fantastycznie majtającymi się przy każdym ruchu, rogatą czapkę z piórkiem dla ozdoby, bufiaste spodnie wpuszczone w cholewy żółtych butów. Sylwetkę dzięki temu zawsze dumnie wyprostowaną i majestatyczną. Kiedy więc krakusi kosztem niedojadania zaoszczędzili nieco grosza, kazali sobie szyć kierezyje na wzór pańskich kontuszków. Co z tego, że nie ze wschodniego sukna, ale z brunatnego samodziału, że bez wylotów podbitych jedwabiem, że bez długiego kosztownego pasa? Kolorów można było dodać haftem jeszcze bardziej barwnym, wyloty zastąpić suką z pomponami jeszcze bardziej podnoszącą ramiona, pas zastąpić wcięciem w talii i rozszerzeniem u dołu jeszcze bardziej majtającym się na wietrze. A siwe czaple piórko u czapki? Co tam czaple piórko, niech tam od razu będzie pawie, i to nie jedno, niech będzie cały pęk. Co prawda nie ma jak osadzić go w klejnocie ze srebra i kamieni, ale przecież bukiet kwiatów z bibułki jeszcze bardziej będzie pyszny i ozdobny.

Suki przy chłopskich kierezyjach coraz były barwniejsze, coraz większe miały pompony, a krakowiackie czapki coraz cięższe

były od pawich piór i papierowych kwiatków. Szlachta tymczasem już noszenie kontuszków porzuciła, przebrała się w surduty, przeniosła do miast na stosowne czynownicze posady albo założyła gazety i przyjęła umiarkowane postępowe poglądy, nazwała się równie szlachebnym mianem inteligencji. I w umiarkowane postępowych gazetach pojawiać się zaczęły pełne rozsądku głosy o tym, jaki to krakus nie dość że zacofany i ciemny, to jeszcze i rozrzutny, żyjący na pokaz. Że w komorze pusto, na modernizację gospodarstwa grosza brak, nie ma też na lekarza dla żony czy szkołę dla dziecka, ale przy święcie chodzi obwieszony jak choinka brząkadłkami, wstążeczkami, piórkami, kwiateczkami, obhaftowany od góry do dołu. A poza tym śmieszny, anachroniczny i groteskowy w nowoczesnym świecie. Długo nie trzeba było czekać na odpowiedź wykształconych obrońców krakusów, oburzonych na szkalowanie ludzi może prostych, ale jednak kochających piękno bardziej niż bogactwo, pielęgnujących odwiecznego słowiańskiego ducha, który przez lata niewoli przechował się w aplikowanych na brunatnym samodziale ornamentach i w dzwonieniu mosiężnych brząkadeł u pasów. Jak można widzieć groteskę i zły smak w tym, co stanowi istotę naszej narodowej estetyki?

TRAUMA PROFESORÓW

Wiele dziś można w naszym kraju przeczytać głosów profesorów oburzonych i przerażonych jakością wykształcenia studentów i ich postawą wobec wiedzy. Studenci są roszczeniowi, prezentują postawę „płacę i wymagam”, zależy im wyłącznie na dyplomie, a nie na uczeniu się czegokolwiek, bywają chamscy, nie pamiętają nic ze szkoły, nie uczestniczą w kulturze, nie mają zainteresowań. Oczywiście, znajdą się wśród nich tacy, którzy chcą pracować i widzą sens nauki, ale to naprawdę wyjątki. Jak mówił w wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” pedagog i pedeutolog profesor Aleksander Nałaskowski: „Na każdym roku, na którym wykładam, zawsze znajdzie się jakaś para żywo zainteresowanych oczu, która ustawia mnie emocjonalnie: wydaje mi się, że wszyscy są tacy fajni i słuchający. Potem na egzaminie okazuje

się, że spośród reszty wielu nie rozumie najprostszych rzeczy. To jest trochę taki problem niespasowania: my jako profesorowie jesteśmy jeszcze mocno XIX-wieczni, reprezentujemy pewną kindersztubę, tradycję szacunku dla uczelni, autorytetu profesora itd., za to studenci oczekują chyba innej generacji wykładowców. My się z trudem przebijemy ze swoimi kamizelkami, zegarkami na łańcuszku czy punktualnością i poprawną polszczyzną. (...) Studentów dziwi dziś nawet to, dlaczego zabraniam żuć gumę na zajęciach. Muszę tłumaczyć, że to nieeleganckie, ale dla młodych ludzi to archaiczne pojęcie. Właśnie dlatego powszechnie uważa się, że studenci są coraz gorsi, bo te różnice między nami są coraz większe. Wartości takie jak okazywanie szacunku innym, ustępowanie miejsca starszym, kultura wyrażania się (zwłaszcza w miejscach publicznych) to już relikty przeszłości. Do tego młodzi ludzie nie mają elementarnej wiedzy o literaturze pięknej czy nawet o klasycznym kinie, dlatego też bardziej współczesne dzieła zupełnie inaczej interpretują niż my. Tak samo jest z wartościami estetycznymi – studenci mają problemy z dostrzeganiem tego, co my nazywamy pięknem, bo ukształtowani są na zupełnie innej estetyce” („Rzeczpospolita”, 30 września 2012 r.) Profesor Nałaskowski taki z tego wyciąga wniosek, że „Masowa edukacja degeneruje”, a redakcja gazety z tego wniosku robi tytuł wywiadu.

Albo biedny profesor Jan Hartman, filozof, w blogowym tekście subtelnie zatytułowanym „Gaudeamus idiotēs” tak oto biada nad swoim losem akademickiego wykładowcy: „Niechby Zeus Gromowładny przywalił kiedyś w ten cały gimnazjon! Tylko me oczy, wciąż jeszcze bystre, szukają instynktownie, na końcu sali, gdzie chowają się skuleni, w poszukiwaniu resztek prywatności, nieliczni studenci, tej jednej twarzy, na której odmaluje się ślad zainteresowania lub choćby zrozumienia. Jeśli zda się nam, że coś pełga na obliczu efeba, ogarnia nas katharsis. Wokół tej uszczęśliwiającej wizji Inteligentnej Twarzy osnuwamy wielki mit Dobrej Grupy i Sensu Naszej Pracy Mimo Wszystko. Do czasu, aż nadejdzie dzień egzaminu. U kresu

bolesnego semestru złudzenia rzucają swe sztandary przed naszym biurkiem. Czwórka za każdy z nich, piątka – za jedno sensowne słowo. Dotkliwie oszukani i zawiedzeni po raz trzydziesty trzeci, szukać będziemy pocieszenia w krótkich wakacjach i w tym cudownym narastaniu wiosny, leczącym traumę drugiego semestru”.

Dziś już także z rządowych sfer docierają głosy, że powszechne kształcenie na poziomie studiów wyższych to mrzonka, że lepiej być dobrym spawaczem niż politologiem bez umiejętności i bez pracy, że młodzi ludzie przesiadując pięć lat na uczelniach, odwlekają tylko trudne wejście w dorosłość.

UCZYĆ DLA UNIWERSYTETU

Tymczasem z tych samych uniwersyteckich kręgów, z których słyszymy o konieczności elitarności wyższego kształcenia, słychać głosy, że szkoła nie przygotowuje do studiów. Cały system edukacji powszechnej – od podstawówki do liceum – zorganizowany jest według akademickiego podziału na dziedziny wiedzy, jest też, a według profesorów powinien być jeszcze bardziej, nastawiony na kształcenie dla potrzeb szkolnictwa wyższego. Oczywiście także z powodu masowości edukacji cały ten system nie działa tak jak powinien, ale czy ktokolwiek zastanowił się, czy on w ogóle ma prawo działać i co by było, gdyby wreszcie zadziałał?

Uczymy wszystkie dzieci i całą młodzież dla uniwersytetu, wpajając im nie tyle konkretną wiedzę czy pożądane umiejętności (bo to jest naprawdę trudne), co miraż społecznego awansu pod warunkiem pokonania kolejnych szczebli edukacji, zdobycia kolejnych stopni edukacji i dyplomów. To, że absolwenci polskich szkół nie umieją niczego, że jakoś po drodze wyparowuje większość tej gigantycznej masy wiedzy, którą w ciągu dwunastu lat obowiązkowej edukacji próbuje im się wciskać, jest dla dumnych nosicieli zegarków z dewizką i straumatyzowanych wrażliwców powodem do refleksji, że świat schodzi na psy, że jest coraz gorzej, że biednym członkom elit

źle jest po prostu, kiedy muszą obcować z tępą masą. Ale dlaczego nie spotykamy się z taką refleksją, że jeśli przytłaczająca większość absolwentów naszego systemu edukacji niczego kompletnie nie umie, to znaczy, że coś złego dzieje się nie z tymi absolwentami, ale z systemem? Że to nieprawda, że młodzi ludzie nie chcą się uczyć?

Przecież oni się uczą, przynajmniej na początku swojej szkolnej przygody ruszają z kopyta, chcą być w porządku, wierzą, że skoro nauczyciele każą im jakąś wiedzę przyswajać i ćwiczyć, to musi być w tym jakiś sens, to tak trzeba. Później, kiedy już mija im dziecinne przekonanie, że trzeba być w porządku, chociażby z nudów przeglądają podręczniki i robią notatki. Zaliczają kolejne kartkówki i klasówki, zdają egzaminy semestralne, roczne, podstawówkowe, gimnazjalne i maturalne, często zarywając noce i rezygnując z naprawdę miłych rzeczy, które mogliby robić w tym czasie. Oni uczą się tak, jak umieją.

NAUKA NA SKRÓTY

A na czym ta nauka polega? Dostają oto materiał do opanowania. Z matematyki, fizyki, chemii, historii, języka własnego i obcych, z filozofii nawet. Materiał ten zawiera wiedzę, do jakiej doszli jacyś mądrzy profesorowie, pokolenia mądrych profesorów, przesiadujących latami w laboratoriach, bibliotekach i archiwach. Inni mądrzy profesorowie tę wiedzę zebrali, opisali możliwie prostym językiem, zaopatrzyli w poglądowe ilustracje i materiały multimedialne i umieścili w kolorowych podręcznikach. Jeszcze inni opracowali metodykę jeszcze prostszego opowiadania tego, co ci poprzedni już uprościli, aby przyswoić to mógł nawet niezbyt zdolny uczeń. Już bez przesiadywania w laboratoriach, bez tych wszystkich doświadczeń, nieudanych i udanych eksperymentów, bez miesięcy i lat spędzonych w bibliotece. I bez tego, z czego tak dumni bywają ci staroświeccy panowie profesorowie, nie znoszący studentów żujących gumę, a co nazywa się intelektualną tradycją, inteligenckim pochodzeniem, kapitałem kulturowym.

Bez rozległego salonu ze ścianami zastawionymi regałami pełnymi książek, bez regularnych wizyt w filharmonii albo w teatrze, bez pradziadka przedwojennego absolwenta podchorążówki i bez babci czytającej Prousta w oryginale.

Młody człowiek, bez wątpliwości i pytań, ma się rzetelnie i systematycznie wszystkiego wyuczyć, po to, żeby później mógł podjąć naukę na uniwersytecie i żeby panu profesorowi noszącemu zegarek z dewizką było łatwo i miło z nim pracować i do wiedzy już nabytej dodawać kolejną. Ci, którzy z jakichś powodów na uniwersytet się nie dostaną, niech idą do diabła. Przecież tak ma być: wszystkich szkolić na studentów profesora Hartmana, ale odsiać tylko wybitnych, resztę pogonić, żeby wrażliwiec nie musiał się traumatyzować ich oglądaniem. Pozostali niech zapomną o przyzwoitej pracy i jako takim poziomie życia, a przede wszystkim niech zapomną o dobrym samopoczuciu i szacunku innych, do końca życia pozostaną nieukami i nierobami, wykonującymi hańbiące prace, którymi nauczyciele straszą leniwych uczniów.

Nasi uczniowie uczą się więc, nabywają wiedzę i kolekcjonują kolejne certyfikaty, nie zdając sobie sprawy, że tak naprawdę tylko naśladowują uczenie się i nabywanie wiedzy. Że ta bardzo mądra wiedza, z której oczywiście nic nie rozumieją, przefiltrowana przez ich umysły nabiera cech groteskowych. Że to, co robią, to podglądanie z daleka pięknego szlachcica w kontuszu przez chłopa-troglodytę, który nie wyobraża sobie innego sposobu na okazanie innym odrobiny własnej godności niż upodobnienie się do tego, któremu trzeba czapkować. Że szyją sobie z samodziału kierezyje, która im bardziej ma być szlachecka, tym bardziej jest chamska, im bardziej obhaftowana od góry do dołu kolorowym kordonkiem, tym właśnie mniej będzie kontuszem z jedwabnym podbiciem i tym bardziej będzie wzbudzała pogardliwe uśmieszki, a może i wzdychania, że świat schodzi na psy.

KTO STWORZYŁ TEN SYSTEM?

Od czasu do czasu w prasie pojawiają się odkrywcze stwierdzenia, że „dziś studiują nawet dresiarze”. Oczywiście że studiują, dlaczego nie mieliby studiować, skoro przez cały czas obowiązkowej edukacji celem i punktem odniesienia dla ich wysiłków było dostanie się na studia, a potem ukończenie studiów wyższych i związany z tym awans do społecznej elity. A że dresiarz-krakus w kierezyji marki adidas nie rozumie, że ani społeczeństwo, ani gospodarka nie potrzebują takiej elity? Że elity już istniejące nigdy nie uznają go za swojego, a jego wiedzę – zdobywaną często kosztem ogromnych wyrzeczeń własnych i całej rodziny – odrzuca i wyśmiewa? Że tyle wart jego dyplom, co pawie piórko u rogatej czapki? A dlaczego ma to rozumieć, skoro wciąż mu do tej pory powtarzano, że temu właśnie służy jego szkolny wysiłek: studiowaniu, a w konsekwencji przejściu z klasy podrzędnej do wyższej. W szkole na pewno taki dresiarz nie słyszał nigdy, że awansu można dostąpić w jakikolwiek inny sposób. Nie rozumie, że dyplom akademicki zdobywa się pracą i wysiłkiem umysłowym, a nie po prostu odsiadując godziny i kując tępo notatki przepisane od kolegów. A tym bardziej nie wymuszając na wykładowcach zaliczenie przedmiotu. A dlaczego ma to rozumieć, skoro przez wszystkie lata szkolnej nauki uczył się na skróty, gotowej wiedzy, której ani genezy, ani celu nigdy nikt mu nie próbował tłumaczyć?

O tym wszystkim powinni wiedzieć raczej ci, którzy teraz się z groteskowych piórek u czapki podśmiewają, a jednocześnie narzekają, że muszą mieć do czynienia z taką masą w śmiesznych kapotach i powypychanych słomą butach na odwyrtekę. Koryfeusze naszej nauki powinni chyba wiedzieć, że takiego elitarnego systemu kształcenia, z jakim mamy do czynienia, nie da się umasowić, bo nie może istnieć masowa elita. Że jeśli chcemy (a powinniśmy) podnosić poziom edukacji mas, to nie możemy edukacji podporządkowywać uniwersytetowi. Że energia, jaką masy poświęcają na edukację, marnuje się, wyparowuje, że anihiluje. Gigantyczna energia milionów młodych ludzi zgonionych do szkół i ich rodziców wypruwających sobie żyły,

aby ich dzieci swoją szkolną naukę mogły zakończyć w jedyny sensowny (jak to się im od małego wciska) sposób. O tym powinni wiedzieć ci, którzy są najlepiej wykształceni, których zawodem i społeczną misją jest przewidywanie i planowanie takich sytuacji. Którzy – co więcej – sami uważają, że to nikt inny, ale oni powinni tworzyć system edukacji, a własny wizerunek stawiać za punkt dojścia wszelkich edukacyjnych wysiłków.

A jak do tej pory wykorzystano dążenie mas do edukacji, te aspiracje krakusów do zadawania szyku szlacheckim kontuszem? Otóż szlachta te aspiracje, owszem, zauważyła i rozpoznała doskonale. I sama zaczęła sprzedawać chamom kierezyje, śmiech budzące, jaskrawe i pokraczne podróbki kontuszków, świetnie na nich zresztą zarabiając. Czy szlachta nie naraziła się tym pospolitym handlem na infamię? Ależ skąd, w końcu to nie żaden poniżający handel, żaden interes, który wymagałby przemyślności i twórczości, inwestycji, ponoszenia ryzyka i wytwarzania czegokolwiek. To odwieczny szlachecki sposób bogacenia się, taki jak kiedyś na żyznych polach Ukrainy czy w nieprzebytych puszczach Litwy: przejęcie bogactwa i jego rabunkowa eksploatacja aż do wyczerpania zasobów albo zapadnięcia się koniunktury. Tym razem zasobem do złupienia okazały się masy Polaków aspirujących do lepszego życia, którym bardzo poważni profesorowie obiecywali, że wyrastające jak grzyby po deszczu pod auspicjami tychże profesorów Wyższe Szkoły Różnych Różności dadzą edukację na najwyższym poziomie i – w domyśle – drogę do awansu, do lepszego życia. To właśnie chciwość, nieodpowiedzialność i pogarda dla aspirującej masy pozwalała na otwieranie kolejnych kierunków marketingu, kulturoznawstwa, socjologii czy pedagogiki, których dyplomami legitymują się dziś młodzi bezrobotni aplikujący o jakiekolwiek stanowisko niewykwalifikowanego pracownika. A chodziło przecież nie o jakiekolwiek kształcenie, lecz o transfer środków od aspirującej masy do uczonych sprzedawców marzeń. Teraz złoża tej kopalni pieniędzy są na wyczerpaniu, więc narzeka się na ich jakość.

GODNOŚĆ BEZ WSTĄŻECZEK

Niestety, polscy akademicy zupełnie nie mają pomysłu na edukację. Nie rozumieją po prostu, że uczenie to komunikacja i że aby komunikacji stało się zadość, musi istnieć kod wspólny dla nadawcy i odbiorcy. Casus profesora Hartmana, który na wykładach po prostu mówi swoje i po swojemu, a potem narzeka, że słuchacze go nie rozumieją, jest tutaj bardzo dobrą ilustracją ogólnej tendencji. Tendencji, w której komunikacja jest jednokierunkowa, a przemawiającego nie interesuje, jakim językiem mówią słuchacze, w jakim procesie ten język nabyli, dlaczego próby wpajania im tego języka, który przemawiający uważa za najlepiej nadający się do opisu ważnych problemów, skończyły się fiaskiem. A to właśnie od akademików społeczeństwo mogłoby oczekiwać opracowania takich sposobów komunikacji, które okazałyby się skuteczne nie tyle w replikacji kolejnych akademików, co w dostarczaniu zwyczajnym członkom tego społeczeństwa wiedzy i umiejętności przydatnych w ich codziennych zmaganiach z rzeczywistością. Stworzenia takiej masowej edukacji, która nie degeneruje, lecz rozszerza horyzonty, nawet takie, które na początku były bardzo wąskie. Od akademików mogłoby także społeczeństwo oczekiwać tworzenia i propagowania idei społecznego awansu i poczucia dumy z własnej społecznej roli dostępnych także dla tych, którzy do profesorskiego zegarka z dewizką nie aspirują. Niech państwo z miasta dostrzegą i głośno przyznają doniosłość codziennego wysiłku krakusa, niech ten wysiłek przyzwoicie wynagrodzą, żeby biedak nie musiał obwieszać się wstążeczkami, kiedy chce się poczuć jak człowiek. Państwo profesorowie, macie jakiś pomysł?

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i

popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie.